

## Jan Antczak

Sygnatura notacji: **N1466**

Data urodzenia: **27.12.1937 r.**

Data nagrania: **24.06.2020 r.**

Miejsce nagrania: **studio nagrań Radia Gdańsk, Gdańsk, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Daniel Wojciechowski**

Czas nagrania: **47 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jan Antczak, urodzony w Chodzieży 27.12.1937 roku.

Czym zajmował się pan w roku 1980, dokładniej w sierpniu?

Jako pracownik Zakładów Porcelany Stołowej Łubiana po kontaktach z osobami, z Trójmiasta żeśmy zaczęli tworzyć struktury Związku Zawodowego Solidarność.

W sierpniu rozumiem, już po strajkach?

Nie, w czasie strajków żeśmy zaczęli tworzyć struktury Solidarności w Łubianie. Pierwsze spotkanie, bo żeśmy podzielili cały zakład na poszczególne wydziały i z każdego wydziału zostali wydelegowani pracownicy po zebraniu wydziałowym, i na takim zebraniu, które się odbyło, już daty na pewno nie pamiętam, ale to było bardzo krótko, jeszcze strajki były dość silne, i żeśmy zaczęli tworzyć tę Komisję Zakładową. I co się okazało, to jest bardzo ciekawe, to, co powiem: na tym spotkaniu, jak to załoga, różnych ludzi przedstawiała do tej komisji i na zebraniu ogólnym tych wydziałów i tych przedstawicieli zostali wybrani członkowie, którzy mieli pojechać do Gdańska, do rejestracji naszego związku w Łubianie. I co się okazało? Było głosowanie, wybrano pięcioosobową grupę i pojechali do Gdańska. I co się okazało? Oni nie pojechali do stoczni, tylko pojechali do PZPR-u. Może pan sobie to wyobrazić? Oni przyjeżdżają i załoga chce wiedzieć, co załatwili: „Gdzie żeście byli, z kim rozmawiali?” - oni oznajmniają nam, że byli w PZPR-ze. No, od razu wielki szum, i co? Natychmiast żeśmy tę całą piątkę wyrzucili całkowicie z tego pomieszczenia i mówimy: „Nie, nie,

tak nie może być”, nie? No i zostali wybrani inni, ale to jeszcze nie była żadna komisja, nic, tylko inni ludzie. Wśród tych innych byli zupełnie normalni ludzie i pojechali do stoczni. Stocznia nam, to, co oni przedstawili po przyjeździe, powiedzieli nam... Oni tam przedstawili nam to, co w stoczni im przekazali: „Róbcie wszystko, ażebyście robili Komisję Zakładową”. Było bardzo krótkie pytanie i bardzo krótka odpowiedź. No i po trzech-czterech dniach żeśmy zwołali znów przedstawicieli wydziałów, no i zostały przeprowadzone już wybory do tej komisji, no i wśród tych wybranych zostałem ja też. No i było wielkie zebranie, było tam kilku, dość dużo nas, no i każdy miał podawać swoich, no i mnie wybrano właśnie z Wydziału Szklawiernia i Piece Tunelowe. No i Komisja Skrutacyjna, wszystko tutaj było bardzo ładnie zrobione, no i w wyborach tajnych zostałem wybrany jako przewodniczący - zaskoczenie dla mnie, mówię: „Takie zaufanie dostałem od razu?”. Zdziwiony byłem, ale byłem zaskoczony, że wśród nich, tej siedmioosobowej grupy było trzech z PZPR-u i byłem bardzo zaniepokojony, nie? Ale tak po tygodniu, po dwóch tygodniach oni się otworzyli, no i ja mówię: „Ja z takimi ludźmi nie będę pracował. Mogę jednego zostawić, ale tych dwóch nie”. - „No to tych dwóch będzie jako doradcy”, tej Komisji Zakładowej. Byłem w opałach, nie? Co dalej, czy czasami nie zrobią nam figla i całą naszą komisję rozwalą inaczej mówiąc, no ale takie pocieszenie miałem, bo jak listę członków żeśmy zaczęli robić to żeśmy mieli ponad 1 000 członków, no ale tych członków to było masowo i tak, że się zapisywali członkowie PZPR-u, bo nie czarujmy się, w zakładach pracy to tak było, i twierdzą, że we wszystkich zakładach ci się garnęli do tego związku, nie? No i rzeczywiście. I co się okazało: jeden z tych tak zwanych „moich doradców”, który miał być, chyba po miesiącu został sekretarzem Partii miasta, tylko że on długo nie był tym sekretarzem, bo jego też tak przypadkowo, bo nikt nie chciał i jego wybrali, i po trzech miesiącach chyba został wyrzucony, bo chodził do kościoła.

Pamięta pan nazwisko tego człowieka?

Pamiętam, ale czy to jest wskazane, żeby powiedzieć?

Oczywiście, że tak.

Tak?

Proszę się nie krępować. Jeżeli chciałby pan wymieniać nazwiska współpracowników, tych ludzi, którzy gdzieś tam przewinęli się, czy panu pomogli czy zaszkodzili, nie ma najmniejszego problemu.

Ja się ograniczałem właśnie, żeby nie wymieniać. Dobrze, że mi pan o tym powiedział.

Tak że śmiało. I pamięta pan, jak się nazywał ten człowiek z PZPR-u?

Teraz pan mnie zabił.

To może w trakcie sobie pan przypomni. Może w trakcie sobie pan przypomni.

No to już jestem na emeryturze, panie, dwadzieścia lat, to dużo rzeczy...

Dużo rzeczy ulatuje, natomiast proszę mi powiedzieć, mówi pan, że organizacje związkowe zaczęły organizować się już w czasie strajku.

W czasie strajku.

Jak to wyglądało wszystko technicznie i jak to działało? Jak to później rozwijało się już po strajku?

U nas w zakładzie to, jak to się mówi, Zakład Porcelany Stołowej to jest taki specyficzny, że wydział od wydziału jest bardzo uzależniony, że jeśli jeden wydział by coś zrobił to drugi wydział już nie może pracować, że to jest połączony schemat produkcji, że od wytwórni masy do wypołu i do dekoracji to jest jeden od drugiego bardzo uzależniony, a w tym okresie był u nas w zakładzie duży kryzys z dostarczeniem surowca do produkcji porcelany, tak? Że produkcja porcelany była praktycznie tylko gdzieś w pięćdziesięciu procentach. Był brak surowców do wytwarzania i przez to nawet było nam lżej powiedzieć: na tym i na tym wydziale pracuje dziesięciu pracowników, na tym... Strajk to nie był taki gremialny, cały, tylko z poszczególnych wydziałów niektórzy pracownicy tylko i potem ja jeszcze byłem, otrzymałem takie pismo, że nam Gdańsk zezwolił na utrzymanie produkcji, bo nasze piece nie mogły być wygaszone, wie pan? Bo każdy ruch piecowy to były wybuchy pieców, w piecu, tym bardziej że u nas był gaz czadnicowy i to było bardzo uczulone, powiązanie gazu z powietrzem, że nie było dnia, żeby wybuchy nie były. Myśmy mieli bardzo ciężkie [warunki], w nocy nieraz telefony do mnie były: „Jasiu, przyjeżdżaj, bo mamy w jednym piecu czy w drugim piecu zawal”, no to, wie pan, to ciężko panu powiedzieć, ale to są piece tunelowe, na takich wózkach, gdzie towar jest przesuwany do od niskiej temperatury do najwyższej i znów spada temperatura, nie? To jest temperatura 1400 stopni, dlatego żeśmy prosili tutaj Gdańsk, żeby nam wyrazili zgodę, że cały zakład nasz nie może stanąć, gdyż grozi nam zniszczenie zakładu, no i ja pojechałem, uprosiłem, że wyrazili na to zgodę. No i struktury nasze zaczęły się rozrastać, na każdym wydziale została powołana Komisja Wydziałowa Związkowa, no i co dwa tygodnie żeśmy mieli zawsze spotkanie z przewodniczącym danego wydziału, nie?

Co dwa tygodnie przez cały czas funkcjonowania Solidarności w Łubianie, mówimy o tym czasie, czy mówimy na przykład o samych początkach?

To był początek, ale to się ciągnęło przez cały czas, bo jako Komisja Zakładowa to organizowała spotkania z przedstawicielami wydziału, i te wydziały przedstawiały sytuację na swoich wydziałach: co robić, z czym wychodzić do dyrekcji, jaka praca nie gra na takim wydziale, czy na takim wydziale, czy kogo zwalniano. Jeśli chcieli zwolnić to już wydziały przedstawiały Komisji Zakładowej, to już była siedmioosobowa i myśmy występowali w rozmowach z dyrekcją na te tematy danych wydziałów.

Rozumiem, że ta struktura zawiązała się i zorganizowała się bardzo szybko?

Bardzo szybko żeśmy to zrobili. Myśmy mieli jako zgłoszenie tu, w Gdańsku, nr 101, jako sto pierwszy zakład tu w Gdańsku był zarejestrowany jako Łubiana.

I też czekaliście przy Grunwaldzkiej w kolejce, żeby się zarejestrować?

Nie, to, wie pan, nie wiem, dlaczego, ale jak mówiłem, że z Łubiany to każdy taki, bo Łubiana w tym czasie była bardzo znana, bo produkcję miała wyrobów porcelany dekoracji kaszubskiej, to dlatego weźmy całe województwo znało nas, to był ten wielki cel. Pamiętam, na jednym zebraniu to żeśmy wyprodukowali wydział, Wydział Zdobniczy wyprodukował paterę Solidarności - wie pan, taka patera z napisem Solidarności i obwódka dekoracji kaszubskiej, no to „Jasiu, zawieź to Wałęsie”, no i Wałęsa otrzymał, dostał tę [paterę] i tam inni zaraz też ubiegali się, ale ja mówię: „Ja nie mogę wam nic obiecać, bo to komisja załatwiała, nie ja”, bo jestem taki człowiek, że nie lubię coś obiecać, a nie zrealizować i nie lubię, żeby mi ktoś narzucał cokolwiek.

I wszystko działało do wybuchu stanu wojennego, prawda?

O, do stanu wojennego to żeśmy, nie powiem, w jakim miesiącu, to żeśmy jako Łubiana to inne zakłady porcelany stołowej, w ogóle przemysłu ceramicznego, telefony się nie urywały do Łubiany, bo to najbliżej Gdańska, no i żeśmy postanowili, że zrobimy, zaprosimy ze wszystkich zakładów z Polski przemysłu ceramicznego do Łubiany i w Łubianie powstał taki związek - oczywiście Związek Zawodowy Solidarność - ze strukturami innych zakładów. To był międzyzakładowy taki organ, no i żeśmy kilka razy po wszystkich zakładach jako Łubiana jeździli do Wałbrzycha, Trzmielowa, do Jaworzyny Śląskiej, do Chodzieży, do tych wszystkich zakładów, no i tam żeśmy im pomagali tworzyć Komisje Zakładowe, nie?

A proszę mi powiedzieć, jakie postulaty wynikające z porozumień były dla pana czy wydawały się panu wtedy najważniejsze?

Pieniądze. Każdy tylko myślał, że się zmieni, że będziemy lepiej zarabiać. To było najważniejsze dla ludzi, no i jak to mówi się w sklepach nic nie było. Na wydziały głosili: „Jasiu, ludzie cierpią, bo nie mają to, tego, tego, tego”, nawet do tego stopnia, że gdzie pracowało najwięcej kobiet to postulowali, ażeby podpaski im załatwić. Oczywiście, myśmy załatwili, i wtedy dopiero hałas powstał. Międzyludzki, między kobietami żeśmy mieli wielki problem, no bo ta dostała taki numer, ta taki - Boże kochany, to przez cały tydzień żeśmy mieli robotę. Mężczyźni znów krzyczeli: „Załatw nam papierosy, bo nie ma papierosów”, ale mieliśmy znów takie dobre [stosunki], to powiem, miałem takie dobre troszkę, no, nie mogę powiedzieć, że z dyrekcją źle pracowało się, że praktycznie co drugi, co trzeci dzień to z dyrekcją mieliśmy spotkania, nie? No i mieliśmy takiego dyrektora, który pracował w Radomiu. Tam były zakłady, produkowali papierosy. Tak, Radom chyba. I ja mówię: „Panie dyrektorze, pan przyjechał tutaj do Łubiany jako dyrektor, a tam był pan kierownikiem, niech pan załatwi dla nas papierosy”. No i rzeczywiście załatwił, że mężczyźni dostali papierosy, a o papierosach to powiem później jeszcze.

A proszę mi powiedzieć, czy przed sierpniem '80, przed tymi wszystkimi wydarzeniami miał pan jakieś kontakty?

Nie, nie, nie. Wie pan, ja pochodzę z rodziny, mój ojciec był PPS i on był działaczem PPS-u w Chodzieży w Zakładach

Porcelitu, i w tym okresie to, co mi opowiadała mama moja, że on był takim działaczem tak jakby takim związkowym, który o tych pracowników tam walczył w tym okresie, nie? No i zawsze mama mówi: „Ty się wdajesz w ojca, bo ty myślisz tylko o innych, a nie myślisz o sobie”.

To rozumiem, że żadne nielegalne wydawnictwa panu także w ręce nie wpadały?

Nie, nie, nie. Zresztą, wie pan, ja nie miałem nawet czasu. W zakładzie to w tym okresie jak przyjechałem do Zakładu Porcelany Stołowej Łubiana w sześćdziesiątym ósmym roku to ja tylko myślałem, jak ludzie żyją, jaką pracę mają - takimi rzeczami ja się zajmowałem, myślałem, o, inaczej mówiąc, i myślałem o swoich ludziach, bo ja byłem takim brygadystą, który miał ludzi, miałem ludzi i miałem takie możliwości, że ja nie brałem etatu związkowego, bo ja nie chcę obciążać, ja byłem takim inaczej mówiąc wariatem, że etatu związkowego nie brałem dlatego, bo ja miałem taką wolność w tym zakładzie, miałem ludzi, rozdałem pracę i to i to robili i ja byłem wolny, załatwiałem wszystkie sprawy po wydziałach. Jak ja tu w Gdańsku opowiadałem [to mówili]: „To niemożliwe, że miałeś tak dobrze” - miałem dobrze dlatego, bo miałem dobrą organizację pracy.

A proszę mi powiedzieć, ja wybuchły strajki i usłyszał pan o tych strajkach, w Gdańsku między innymi, obserwował pan to jakoś tak pewnie jak każdy wtedy na początku trochę z boku. Co pan o tym wtedy sądził, na samym początku i później, już w trakcie, kiedy okazało się, że jednak się angażujecie?

Wie pan, bo w naszym zakładzie nie było dobrze. Ludzie bardzo mało zarabiali, a to był jeden zakład. Byliśmy w Kościerzynie, gdzie ludzie mieli pracę, w Kościerzynie nie było przemysłu żadnego i oni z ludźmi robili, co chcieli, a ja na przykład nie mogłem bardzo mocno podskoczyć, bo ja nie czułem tych ludzi za sobą, bo ci ludzie bali się, że ich zwolnią, a my znów patrzeliśmy, żeby przez dyrekcję jak najwięcej tym ludziom dać, żeby utrzymać to, bo gdyby Łubiany nie było to do dnia dzisiejszego Kościerzyna by leżała.

I rozumiem, że te strajki były pewnym motorem w takim [działaniu]?

Motorem, motorem byli. No i przez te strajki dyrekcja, nie pamiętam dokładnie, ale myśmy mieli chyba dwa razy po 10% podwyżki.

A jakie były nastroje pana współpracowników jak usłyszeli, że wybuchły strajki w Gdańsku? Co oni mówili?

Różnie, różnie. Tyle, co wiem, to jakie 80% załogi było w PZPR-ze. Tak. To może pan sobie wyobrazić, jakie naciski były na mnie. To nieraz z żoną, bo żona też tam pracowała, to żona mówi: „Jasiu, czy ty dasz radę jeszcze? Przecież oni cię zniszczą całkowicie”. No, jakoś nie zniszczyli. Potem... ale to w następnym pytaniu. Potem jak już struktury tu w Gdańsku zaczęły się tworzyć, weźmy MZ, MKS-y i takie tego, na pierwszym zebraniu związku tu w Gdańsku to zostałem wybrany do Zarządu Regionu. Miałem zaufanie, że w Kościerzynie... Już mogę mówić o Kościerzynie, jak tam [było]? No i w Kościerzynie jako Łubiana była pierwsza zarejestrowana, żeśmy zaczęli po tych małych zakładach tworzyć struktury związkowe, nie? No i w Kościerzynie został taki Międzyzakładowy Komitet utworzony, to żeśmy też

się co rusz spotykali i rozmowy były znów, nie z burmistrzem, tylko z naczelnikiem miasta, nie?

Natomiast kiedy doszło do strajków to wiadomo, że nagle pojawiły się nazwiska różnego rodzaju. Co wtedy z ówczesnej perspektywy sądził pan o tych nazwiskach, które się pojawiają - a to Wałęsa, i Gwiazdowie, i Anna Walentynowicz? Jak to wyglądało z pana perspektywy wtedy?

Wtenczas spotkałem się z panią Anią Kurską, tu, w Gdańsku, i tak żeśmy się dogadali, dogadali, pogadali i ona została też chyba przez Związek Zawodowy Sądu, weszła też do Zarządu Regionu, no i wtedy żeśmy zaczęli analizować, co za ludzie są weźmy w zarządzie. Różne zdania były, ale fakt faktem, że w tym okresie to Wałęsa zrobił to, co zrobił. Ludzie wierzyli jemu, ale po cichu, na bokach były inne zdania także. Były inne zdania także. No ale nie było możliwe powiedzieć, że Wałęsa jest nie taki, jaki się przedstawia, bo ludzie by nie uwierzyli. Naprawdę, ludzie na przykład w Lubianie, nikt by nie uwierzył w to, i w Polsce też. Jak żeśmy się spotykali z innymi zakładami to potem przy końcu to już Trzmielów, z innych zakładów takiego pytania nie otrzymałem, bo oni wierzyli w to, co ja mówię, nie? Bo tu najbliżej Trzmielów mnie się pyta: „Jasiu, czy ty wierzysz całkowicie Wałęsie? Bo coś do nas tu dochodzi, że Wałęsa nie jest taki, jaki powinien być”. Ja mówię: „Słuchaj, oficjalnie ja ci nic nie powiem, bo dlaczego mam powiedzieć, jeśli konkretnie nie wiem?”, nie? No i to Trzmielów mi takie straszne pytanie zadał.

A jak wspomina pan ten rok 1980 w swoim życiu z takiej ludzkiej perspektywy?

Ja byłem zadowolony. Ja byłem zadowolony, że mogę ludziom pomagać, że w Kościerzynie i w innych zakładach miałem zaufanie, gdzie tylko poszedłem to ludzie inaczej mówiąc lubili mnie, i w zakładzie jak już później troszkę to bardzo miałem zaufanie do ludzi, bo wierzyli, że jeśli ja miałem coś załatwić to załatwiałem. Wierzyli mi.

A w domu, żona?

No, to były problemy, bo córka była, uczyła się też w przemyśle ceramicznym, ale w Milczu, poza Kościerzyną, syn był w wojsku, a drugi wyuczył się na elektryka i poszedł do stoczni pracować. Pamiętam, jak jeden, ten najstarszy syn miał przysięgę, żeśmy tam pojechali, to już z kolegą żeśmy byli, to już takie mówi do mnie: „Tato, ale dowódca o tacie wie”. Ja mówię: „Jak wie, no to ma do ciebie jakieś urazy, coś tego?”, mówi: „Nie, fajny chłop”, a on był w orkiestrze. Już wtedy jak nawet na przysiędze to mówił: „Tato, my w pokrowcach zamiast instrumenty to wywoziliśmy pudła z jednostki”, do tych żołnierzyków, do dowódców. Tak okradali nawet dowódcy przez pakowanie w pokrowcach. Na portierni to orkiestra, pokazywali te instrumenty, ale w pokrowcach było co innego. I pamiętam, jak już był raz i mówi, że kapelmistrz powiedział, żeby on się starał na bycie jako zawodowy w orkiestrze. Jak to miało być do końca, przy końcu, to ten kapelmistrz mówi do niego - on tak mi opowiadał później, nie? - mówi: „Andrzej, jesteś wspaniały. Myślałem, że otrzymam ciebie jako, ale dostałem cynk, że nie mogę ciebie zostawić w wojsku”. Chłopak mówi potem jak przyjechał, mówi: „Tato, przez ciebie ja nie mogę zostać w wojsku, bo już dostałem, kapelmistrz mi powiedział: »Nie będziesz mógł zostać«”. To było straszne takie, dla mnie takie uderzenie, że mnie mogą bić, mogą cokolwiek, ale żeby dziecko tak poniżyć? No ale trudno, stało się.

Jaką Solidarność, tę z roku 1980 pozostawili państwo swoim dzieciom i kolejnym pokoleniom?

Ażeby wierzyli w to, co tata robił: że byłem w Solidarności, nadal jestem i do śmierci zostanę, i oni o tym wiedzą.

Czy jest coś, o czym powinniśmy powiedzieć, a o czym nie powiedzieliśmy w związku z tą całą pana działalnością? Wspominał pan o tych papierosach też przy okazji.

O, jak Jaruzelski ogłosił stan wojenny, no to o tym mogę powiedzieć?

Tak.

Ogłosił stan wojenny, byłem w domu, a miałem jeszcze w domu mamę osiemdziesięcioczeroletnią. Wszyscy [mówili]: „Co to będzie, co to będzie?”. No i na drugi dzień żeśmy się wyspali, na drugi dzień ja mówię do żony: „Ale wiesz co, ja dostałem cynk, że jutro ma być posiedzenie Zarządu Regionu, a tu co?”. „No to nie będziesz mógł jechać, bo autobusy nie lecą”, bo wszystko było zamknięte. Przyszła niedziela, ja poszedłem na przystanek autobusowy, jeden autobus podjeżdża i ja mówię: „Dokąd jedziesz?”. „Do Gdańska”. No i zabrałem się do Gdańska. Poszedłem tu, na stocznię - wszystko pustki, gdzieś gdzieś jakiś człowiek jest. Poszedłem do biura tam Solidarności gdańskiej, a przedtem jeszcze poszedłem do Wrzeszcza, tam, gdzie był Zarząd Regionu, we Wrzeszczu był, tam przechodziłem, a to przez okno wyrzucano tam takie różnego rodzaju dokumenty. Nie wszedłem tam, tylko wróciłem się z powrotem do Gdańska, do stoczni. Tak już Komisja Zakładowa stoczni była otwarta, już tam drukarnia zaczęła działać i ulotki [drukować]. Wziąłem ulotki, mówię: „Biorę ulotki na Kościerzynę” i ostatnim autobusem, który był o dwudziestej drugiej, znów leciał na Kościerzynę autobus i ja pojechałem do Kościerzyny, ale nie pojechałem do domu, tylko bezpośrednio do zakładu. To było w niedzielę. W poniedziałek jak załoga przychodziła to zaraz te wszystkie ulotki żeśmy [rozzucili], całą Komisję Zakładową zwołałem do biura i żeśmy rozwiesili po zakładzie ulotki komisji w Gdańsku i Komisji Krajowej. Wiedziałem, że coś się stanie, już tylko polecałem tam na swój wydział i powiedziałem: „Słuchajcie, mnie dzisiaj nie będzie”, no i tak o godzinie dziesiątej mówią, że przyjechał jakiś wojskowy komisarz i wzywają mnie do dyrektora, a dyrektor naczelny, tak jakby wiedział, nie przyszedł do pracy, tylko inni byli - był dyrektor Karczewski i dyrektor Mor. I zaraz taka... przy tym komisarzu jacy oni mądrzy są. „Prosimy o natychmiastowe usunięcie wszystkich ulotek i z tablicy ogłoszeń”, ja do nich mówię: „Panie dyrektorze, niech pan się nie ośmiesza. Jeśli ja coś powiesiłem to ja tego nie zdejmę”. Jezus kochany, jacy oni byli wtenczas źli na mnie. Nie zostało to zdjęte, no to kazali usunąć, bo będą zamykać nasze biuro. Ja mówię: „Zaraz, powoli. Jeżeli ma biuro zamknięte być - a ja przedtem już prawie takie ważniejsze dokumenty pochowałem gdzieś, gdzie indziej przeniosłem, nie? Ja mówię - to pan nie może od razu zamknąć, bo ja mam tam piękne kwiaty i te kwiaty muszą być usunięte? Niech wezwą do innych biur”. „No to dobrze, rzeczywiście masz tam ładne kwiaty”. No i usunęli, biuro zamknęli, myśmy potem z innego pomieszczenia przenieśli te ważniejsze dokumenty i gdzie indziej schowaliśmy całkowicie, no i pojechałem do domu o godzinie gdzieś, jeśli się nie mylę, bo już... jak żona mi chyba przypominała, że gdzieś była godzina dwudziesta pierwsza, a przedtem już w domu byli, policja, która miała mnie zabrać. Tak moja mama mi powiedziała i tam taka zrozpaczona, zapłakana jak żeśmy przyszli z pracy, no i o godzinie dwudziestej pierwszej przyjeżdżają, czterech. Zabrali mnie na posterunek, na drugi dzień już się znalazłem w Starogardzie. Po tygodniu już miałem pierwszą sprawę, bardzo szybko była. To była, jeśli

się nie mylę, chyba pierwsza czy druga sprawa w województwie, sprawa sądowa. Tak szybko ten nasz prokurator działał, że świat nie widział. I pamiętam, jak on mnie przesłuchał, ja usiadłem [i on pyta]: „A kto ci sku... - nie można tak mówić, nie? - kazał siadać?”, ja mówię: „Jeśli krzesło stoi, no to siadam”. I tam zaczął krzyżeć na mnie, a ja się śmieję z niego. To taki wściekły był wie pan. „Jutro już będziesz siedział”, ja mówię: „Jutro dopiero?”. A przyjechali przedtem, jak mnie nie było, byłem w zakładzie, to policja dostała nakaz mnie wziąć do internowania, wie pan, i mnie nie mogli znaleźć, nie złapali mnie, bo ja byłem w Gdańsku w niedzielę, a w poniedziałek byłem w zakładzie, tak że nie wiedzieli, gdzie ja jestem, nie? No i się znalazłem w Starogardzie. Miałem tam kilka tych spraw i byłem, chyba miałem dwa razy - przedstawiciela Komisji Zakładowej zaznaczam - wizytę w Starogardzie. Ja mu mówię: „Słuchaj, tu jest bardzo kiepska sprawa, bo wszyscy nie mają co palić. Weź załatw - i mu mówię, gdzie są takie długie papierosy, wie pan? - i przywieź”. Przywiózł i rzeczywiście w Starogardzie przekazali, a w tym czasie to już po jednej sprawie to sąd zasądził obserwację mnie w Zakładzie Psychiatrycznym Kocborowie, i tam było więcej luzu, że te wizyty to nie były wizyty nakazane przez prokuratora, tylko że przyjechali do Kocborowa, nie do więzienia, tylko do Kocborowa. Tam jak ja potem rozdawałem te papierosy to Jezus, co za uciecha była. Drugi raz przywiózł to już byłem znów we więzieniu, to ja miałem za te papierosy i masło, i kiełbasę mi dawali, wszystko ci więźniowie, aby tylko te papierosy otrzymać, bo te pety takie, a ja niepalący, to miałem okazję, że nie tak źle się odżywałem.

I kiedy skończył się ten czas zatrzymania?

Jak zatrzymania?

No bo był pan i na obserwacji w szpitalu i był pan także uwięziony, prawda?

Tak.

Więc kiedy to wszystko się skończyło?

15 kwietnia.

Osiemdziesiątego drugiego roku? Dobrze, wróćmy jeszcze na chwilę, zrobimy takie krótkie podsumowanie do roku 1980. Jak by pan podsumował ten rok 1980 - strajki, powstanie Wolnych Związków Zawodowych, kilkoma zdaniami?

Kilka zdania było bardzo... jako ja, przewodniczący, było bardzo dużo pracy i myślenie stale, ja osobiście myślałem o załodze, gdzie pracowała. To był mój cel, ażeby tym ludziom jak najwięcej pomóc, przez cały czas. Jestem takim człowiekiem, a dalej panu powiem, że za te osiągnięcia, bo to Lech Kaczyński mnie oznaczył Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski, to było dla mnie takie wielkie podziękowanie, że inni mnie docenili. No i teraz otrzymałem ten Krzyż Wolności Solidarności, a powiem panu jeszcze dalej, gdzie przykro mi to jest, że teraz władza kościerska mnie nie potrafi docenić. Mam najwyższe odznaczenia w Kościerzynie. Walczę z burmistrzem, bo nie ma w Kościerzynie żadnego parku, a jest taki skwerek i chciałbym ten skwerek, ażeby powiedzieć: „To jest park im. Józefa Piłsudskiego”, i już trzeci rok walczę i nie mogę do tego dojść. To tak mnie męczy, że świat nie widział.



Czy według pana ten rok osiemdziesiąty to był czas straconych nadziei?

Nie. Nie był stracony. Dla mnie osobiście, jeśli mówię o sobie, nie? Nie był stracony, bo twierdę, że zrobiłem wszystko, ażeby w Kościerzynie utrzymać Zakład Porcelany, żeby ludzie mieli pracę i ludzie nawet nie wiedzą, ile to wysiłku było, ażeby ten zakład utrzymać. Ile razy do Warszawy musiałem jeździć, przecież ten zakład już był na krawędzi bankructwa, już chcieli go zamknąć. Taki jeden pan z tych struktur, gdzie robili te cafe... jak to się mówiło? To przyjechali, to odgrazano mnie, to jeden taki - o, pan Żołądek się nazywał, z Ministerstwa Przekształceń chyba, to były takie ministerstwa różnego rodzaju, nie? „To ci zamknę, gnoju, a zakład będzie sprzedany czy sprywatyzowany”. Ja mówię: „Póki ja będę to zakład nasz będzie istniał. Jeszcze potem inni dyrektorzy byli, już zmiana dyrektorów była, to ta pani Wawrzyniakowa mówi: „Jasiu - po tej rozmowie - ale też ja myślałem, że zawoła kogoś i cię zamkną za to, za to, co im dałeś popalić”. Lewandowski słynny, że tu Gdańsk tego człowieka jeszcze utrzymuje i głosuje na niego, ile on straty zrobił. Zakład Porcelany w Wałbrzychu, myśmy tam walczyli o ten zakład, a ten gnojek go jednak zniszczył. Jak taki Lewandowski się znalazł w Kościerzynie raz, ja mu mówię: „Jedź gdzie indziej, bo tu w Kościerzynie na przykład ode mnie dobrego słowa nie znajdziesz”.

<KONIEC NAGRANIA 00:46:52>